Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 43. Poznań, dnia 26. Października. 1840.

Literatura zagraniczna.

Bernardin de St. Pierre.

Przez L. Siemieńskiego.

Wrażenia lat najmłodszych dziwnie się wiążą nieledwie z całą przyszłością człowieka — dowód mamy na życiu Bernardyna de St. Pierre. On, chłopię dwunastoletnie dostaje Robinsona, czyta, a umysł zachwycony wznosi się stopniowo do kombinacyi głębokiéj polityki, docieka zasad szczęścia społecznego, upatruje takowe w gorącém zamiłowaniu natury, i jak drugi Platon, dla wymarzonego ludu marzy prawidła i ustawy.

Ostatnia ta myśl przewodniczyła mu we wszystkich pracach życia. Jeszcze uczniem w kolegium puszcza się podczas wakacyi z wujem swoim do Martyniki, w slodkiéj nadziei zostania królem na jakiéj wyspie. Oddany do jezuickiego kolegium, pragnie nieść słowa ewangelii do Indyów lub Japonii i zdobyć męczeńską koronę. — Porwany wielkością sławy wojennéj, odbywa niesławną kampanię nad Renem pod hrabią St. Germain. Jako oficer okrętowy puszcza się do Malty w nadziei wojny z Portą. Ofiaruje się na kruchéj łodzi zdjąć plany brzegów angielskich. W dwudziestym piątym roku, gdy tyle usiłowań spełzło na niczém, obraca oczy na Rossyą: widzi imperatorową protektorkę filozofów, i bez długiego namysłu pędzi do Petersburga z projektem założenia republiki platońskiéj nad brzegami jeziora Aral. Zawiedziony w swoich oczekiwaniach, postrzega republikańską Polskę zawichrzoną bezkrólewiem i nie wątpi, że na téj ziemi przywiedzie plany reformy. W trzydziestym roku wyprzedaje swoją ojcowiznę we Francyi, i żegluje do Madagaskaru znowu z projektem założenia rzeczpospolity. Tu i owdzie znachodzi przyjaciół i ciche życia; gdzie indziéj miłość i rozkosze, a wszędzie prawie zawiedzione nadzieje w urzeczywistnieniu urojonéj budowy, a bardziéj młodéj ambicyi, pragnącéj jednym pociągiem pióra wynieść się do szczytu dobroczyńcy ludzkości. Póżniéj, kiedy w nim umysł filozofa i serce poety wzięły górę nad mniéj czystémi namiętnościami, sam wyznawał, iż próżność i ambicya były przyczyną wielu przygód, zgryzot i nieszczęść doznanych w pierwszéj epoce młodości. Luboć te przygody nie mogły równać się z témi, jakich doznali inni męczennicy utopii: jak Giordano Bruno i Savonarola żywcem spaleni, jak Campanella, autor Miasta słonecznego, więziony lat 27, jak Bakon prześladowany za czary a w bliższych czasach Baboeuf skazany na śmierć od dyrektoryatu — wszelako część cierpień przypadających na niego, była dostateczną, aby z téj próby ogniowéj najczystsze wyszło złoto. Jakkolwiek bowiem śmiesznością trąciła owa chętka urządzania społeczeństw, jednakże we wszystkich jego krokach i czynach przebijało najczystsze uczucie miłości, które rozciągał na cały ród ludzki, a nawet do zwierząt. W towarzyskiém pożyciu starał się zwykle o przyjaźń tych, co byli najpotulniejsi i zapomniani, czułość ciągnęła go zawsze ku stronie słabszéj; mysz pod szponami kota znachodziła w nim obrońcę, kot, gdy był w paszczy brytana, brytan pod kijem człowieka, a człowiek w każdym ucisku. W téj ustawicznéj walce słabego z mocniejszym, charakter jego odznaczał się boską wyższością, bo zawsze wierzył, że nie sam jeden wstępował w szranki, i że opatrzność walczyła także za nieszczęśliwymi.

Liczne awantury Bernardyna de St. Pierre znajdują się rozsypane w jego dziełach, oraz w pamiętnikach pana Aimé Martin. Co robił na lądzie i morzu, goniąc za urojeniami, mniéj dla nas ciekawe, co zaś w Polsce więcéj: a to z dwóch przyczyn: Ujrzymy bowiem filozofa z prawami harmonii przybywającego między burzliwą szlachtę, ciągnącą zbrojno i pijano na elekcyę pod Wolę, i namiętnie rozkochanego w Polce znakomitego rodu.

Po czteroletnim pobycie w Petersburgu, nie dbając o spodziewaną nagrodę prac swoich i usług, opuszczał tę ziemię, z témi nadziejami, z jakiémi na nią wstępował. Dwiestą sztuk złota zaopatrzyła go ręka przyjaźni, i te ubezpieczały go w daleką drogę do Polski. Mimo paszportu do wolnego przejazdu zatrzymany przez tydzień na granicy; lecz kiedy raz przebył Dźwinę,

kiedy raz stanął na ziemi rzeczpospolitéj, równie dlań świętéj jak ojczysta, radość jego nie miała już granic. Zdało mu się, że ciężar ogromny spadł z duszy, że powietrze było lżéjsze, zieloność żywsza. Pośród posępnych puszcz białoruskich, przywitała go wiosna z całą świeżością barw umiarkowańszéj sfery. Po raz pierwszy od lat czterech ujrzał rosnące rozłożyste dęby obok sosen i brzóz; zapach fiołków zalatywał go z powiewem ciepłego wiatru, a oko bawiło się widokiem żółtych nieśmiertelników, przypominających mu Francyę. Wzruszony temi sielskiémi obrazy, z umysłem napełnionym wielkością Grecyi i Rzymu, zbliżał się coraz ku Warszawie pewien, że ujrzy starożytne miasto pełne cnót dawnych bohatérów. Napróżno wsie poniszczone, lud wynędzniały rozczarowywały jego oko — wolał to przypisać nieszczęściom napadów i wojen, niż źle zrozumianéj politycznéj wolności, która rozciągała swój przywiléj do pewnéj liczby obywateli. Jakież musiało być zdziwienie naszego filozofa, gdy miasto owych dumnych surowych republikanów, zastał tylko stronnictwa kierowane intrygami kobiet; familie możne otoczone tłuszczą jańczarów, Węgrów, ułanów, hajduków, rozprawiające się szablami o koronę, do któréj każdy rościł sobie prawo!

Zaledwie stanął w stolicy nasz podróżny, natychmiast pospieszył do rezydenta francuzkiego, austryackiego, i do różnych naczelników stronnictw, wszędzie oświadczając, iż porzucił swój stan, swoich protektorów, nadzieje fortuny, aby służyć sprawie rzeczypospolitéj. Każdy oddaje sprawiedliwość jego odwadze, gorliwości, każdy pospiesza z przyjęciem, pochlebia, przyciąga. Kuzynka księcia Karola Radziwiłła, księżna Marya M... otwiera dom swój cudzoziemcowi. Pani ta młoda, rozumna, piękna jak rzadko, ma wszystkie talenta, mówi różnémi językami; jéj miłość, cnoty, zapał do wielkich czynów, ogromny wpływ wywierają na otaczające ją osoby; jak druga Kleopatra w Plutarchu, niewielka wzrostem, żywa, porywająca, rodziła w drugich to przekonanie, że równie umiałaby żyć dla światowych rozkoszy, jak umrzeć dla sławy. Od pierwszego wstępu Saint Pierre doświadczył podwójnego wpływu, jéj jeniuszu i piękności; od téj to chwili stała się jedyną myślą, jedyném uczuciem jego serca; słysząc ją, już podziela te same uniesienia patryotyczne, w rozumowaniu do tych samych skłania się widoków, i nie postrzega, jak wszystkie swoje systemata i zamiary stopił w jednę chęć podobania się téj czarodziejce. Jeżeli kiedy, to teraz ciężyło mu imie niegłośne w świecie. Wyrazy: wolność, męztwo, heroizm, rzucały go zawsze w stan gorączkowy, dotąd kochał sławę i nic więcéj, z poznaniem księżny, sława była mu bóstwem. Już chce lecić, odznaczyć się jakim rozgłośnym czynem, zdobywać grody, zamki, królestwa, i względy swéj pani na sposób dawnych rycerzy wywalczyć.

Sposobność dość niebezpieczna niebawem nawinęła się na rękę. Książę wojewoda wileński po sejmie konwokacyjnym roku 1764. zabierał się do obrony kraju przeciw wojskom imperatorowéj i familii (tak zwano partyą wojewody ruskiego), rozłożywszy garnizony swoje nadworne między Nieświeżem i Słuckiem, i oczekując posiłków Kierim Gireja, mających nadciągnąć od Krymu. Na tę wieść, Saint-Pierre układa natychmiast zamiar pospieszyć na pole działań wojennych, przebić się przez liczne oddziały nieprzyjacielskie, rozrzucone po kraju, złączyć się z księciem Radziwiłłem i w pierwszéj bitwie złożyć męztwa swojego dowody. Zamiar ten, jakkolwiek trudny do uskutecznienia, nie zrażał go bynajmniéj; owszém miał dla niego urok wielkich przedsięwzięć, w których sam upadek jeszcze sławę zapewnia. Wreszcie w uniesieniu swojém pragnął, aby go śmierć spotkała na polu bitwy, a pamięć jego uświęciłaby może cicha łza księżnéj Maryi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Poezya.

Senna maro! z potęgą trującéj gadziny,
Obwinęłaś mi serce i wpiłaś się w duszę,
A jam wssał twe trucizny i cierpię katuszę —
Ale z własnéj cierpię winy!

Na źwierciadłach pamięci świecisz mi jak zorza
Odbita na błękitach spokojnego morza;
Ale cię dostać trudno rękoma obiemi,
Boś tak daleko od ziemi!

Błogo, kto cię obejmie i w dźwięki zczaruje!
Temu spółczuciem świat przyklaśnie cały,
I pieśni jego w okół zawtoruje
Uroczystéj głosem chwały!

Czarodziejko! spłyń ku mnie z promiennem obliczem,
I rozświeć myśli mych męty —
A ja owiany duchem tajemniczym,
Zabrzmię himn święty.

Spłyń ku mnie w natchnień potoku,
Rozświeć zapałem oblicze;

I odstrzel we mnie, jak w czystym wód stoku,
Powaby twoje dziewicze!

A w świat zadzwonię pieśnią oblubieńca,
Płomienném uczuć obejmę ramieniem,
I świat rozplonię natchnieniem
Wieszcza — młodzieńca!

1838. r. F. Ż.

Przygoda podróżnika.

(Dalszy ciąg.)

Na tę lakoniczną odpowiedź skrzywiła się marszałkowa, jednak nie tracąc wątku znowu zagadła: »Rozumiem; Emil mi wspomniał, że pan jesteś badaczem naszych starożytności — ależ niestety! gotyckich kościołów u nas ani zaznać — zamków też nie ma.« — »Tego rodzaju pomniki« mówił, niby z lekceważeniem — »nie obchodzą mię wcale. Ziemia nasza, ziemia z mogiłami, z uroczyskami, to moje starożytności, to skarby — a słowo ludu, podanie, bajka, pieśń... w tém cała przeszłość, któréj nie znajdzie w księgach pisanych... i téj ja szukam.« — »To gustuje w piosneczkach, które chłopi śpiewają? i lubi słuchać ich bajek?...« zapytała złośliwie. — »Wolę je stokroć, niż ckliwe elegie naszych sfrancuziałych wierszopisów.« — »Anielko!« tu marszałkowa zwróciła się do obok siedzącéj panienki — »Anielko! zróbże siurprizę i zaśpiewaj, wiesz tę: Gołębie na dębie... a nam, cośmy nie tak wysokim gustem obdarzeni, jaki kawałek z szwajcarskiéj familii — lub, ja i polskiémi nie gardzę, ten romans jenerała Kropińskiego: Moja to, moja Emina.«

Całe grono zaśmiało się mniéj więcéj głośno — Anielka w susach pobiegła do fortepianu, a Labuś, który nie wiele rozumiał po polsku, obchodził tylko dokoła pana Dołęgę, i krzywo pozierał, a mruczał Emilowi na ucho: »Quelle idée de nous prèsenter un manant, un roué?...«

Tymczasem pan Dołęga wypił prawie duszkiem swoją szklankę herbaty, a marszałkowa skwapliwie: »Może drugą — może pozwoli drugą?« — »Dosyć téj jednéj dla rozgrzania się — dziękuję.« — »Czy nie głodny?... gdzież popasał? u nas karczmy takie niegodziwe, i dla tego podróż po naszéj Syberyi nie musi być wcale przyjemną. — A konie pańskie, a człowiek? — Ach Emilu! niceś nie mówił o koniach tego pana, a może nie mają żadnéj wygody!...« — »Moje konie? mój człowiek?« — podróżny się rozśmiał, a uderzając się po obu kolanach, dodał: »Moje konie są zawsze ze mną, a mój człowiek nigdy jeść nie potrzebuje« — i wskazał na sękaty kostur stojący w kącie.« — »Rzecz niesłychana! pan wojażuje piechoto jak student niemiecki?« — »Tak jest — na popasy i noclegi zachodzę do poczciwych chłopków, od których oprócz gościnnego przyjęcia wiele jeszcze korzystam.« — »Spodziewam się, że nie na dobrym tonie i przyzwoitych manierach?« — przycięła marszałkowa, gdyż właśnie w téj chwili pan Dołęga wyciągnął swoje nogi i ręką podparł głowę. — »O nie, ale na poczciwéj prostocie i zdrowym rozsądku, co zdaniem mojém więcéj warte, niż jakaś tam etykieta i modne grymasy.«

Labe, który dotąd nie mięszał się do rozmowy, szybko skończył swój niuch tabaki na dwanaście tępów zażywany, strzepnął palcami, a podsuwając się z krzesłem, zapytał tonem pedagoga: »Czy miał w ręku Citoyen de Genève, że rezonuje o ètat Sauvage i o ètat civilisé?« — »Nie rozumiem — chciéjcie mówić po ludzku, to może czego się dowiem« odrzekł podróżny z miną półgłupka przekrzywiając głowę. — »Cet homme m'embète, tâchez de le congêdier« ofuknęła marszałkowa wstając z kanapy. — »Coś nawet podejrzanego« szepnęła stara rezydentka wynosząc się razem z marszałkową. — »Emilu« mówiła Anielka ciągnąc go za klapę od fraka — »nagadałeś, że to uczony, światowy człowiek, a on nawet nie podziękował mi za granie.«

Emil, któremu nie pozwolono mieć swojéj woli, zmartwił się tém przyjęciem człowieka, co mu uratował życie; chciał głos podnieść w jego obronie, lecz na jakiéj broniłżeby go zasadzie, kiedy sam w najgorszych wychowany? — »Wezmę go do siebie — pomyślał — tam mu dam jeść i spać — a tego matka ani Labe zabronić mi nie mogą...«

W tym zamiarze zbliżał się ku panu Dołędze z propozycyą udania się do oficyn, nim godzina wieczerzy nadejdzie; ale podróżny, widząc, że grono kobiet się wyniosło, że Labe politykuje i w okno patrzy, że Emil stoi pomięszany — odgadł co się święci, i uprzedzając Emila — »Komu droga, temu czas« rzecze — »dogodziłem twéj prośbie mój panie, poznałem twój pałac, ton pański, etykietę, napiłem się dobréj herbaty i nasłuchał ładnéj piosneczki — czegoż chcieć więcéj w podróży, wszak i to ustęp ciekawy w szeregu różnych wypadków — a teraz torba na plecy, kij w rękę i daléj...« — »To być nie może! pan chciałbyś jeszcze teraz, pod noc, opuszczać nas, i dokąd?...« — »Na każdym progu chłopskiéj chaty gościnność mię czeka...« To rzekłszy brał kij i czapkę, a Labe uradowany, że się wynosi, w niskich ukłonach odprowadzał go ku drzwiom, dając Emilowi przestrogę po francuzku, że podobne indywidua wynagradza się pieniędzmi, nie zaś do wyższéj kompanii wpuszcza. Podróżny chciał niby coś odpowiedzieć Labemu, mając już na języku fran-

cuzkie Mon..., lecz machnął ręką w znak pogardy i poszedł do mieszkania marszałkowicza, gdzie zbierał pozostawione manatki — panicz zaś z założonémi rękoma patrzał na te przybory i nie wiedział, co powiedzieć, bo mu i wstyd było, i bojaźń opiekunów nie pozwalała lepszéj stronie serca przemówić. — Lecz kiedy podróżny jednę dłoń położywszy na klamce, drugą wyciągnąwszy z pożegnaniem zabierał się już do wyjścia, Emil poskoczył, zatrzymał, a ściskając z wzruszeniem — »panie Dołęgo! — mówił miękkim głosem — ja cię tak puścić nie mogę — daj mi słowo, daj, że wrócisz, że przyjmiesz...« — tu zrobił poruszenie, jakby chciał mu coś włożyć do ręki; co podróżny zdał się zauważać, bo ściągnął ją pod bok, a stając we drzwiach niby do perory, tak się odezwał pochwyciwszy za słówko Emila: »Młodzieńcze! czy wiesz, co to dać słowo? czy wiesz, że ja lat tyle wszerz i wzdłuż zbiegam tę ziemię od Kamy do Elby, a jeszcze nie wiem, czym jedno dał słowo jéj mogiłom i kościom, aby mi zagadały o starych swych dziejach — a ty niebaczny, chcesz, abym je tobie dawał dla takiéj fraszki? Pamiętaj, na nikim nie wyciskaj słowa, słowo może być ciałem, słowo nie wiatr, ja żyję i ożywiam słowem... bywaj zdrów i pisuj do mnie na Berdyczów!« — Rzekłszy, czapką nakrył uszy i zniknął.

»To jakiś dziwak!« — mówił panicz sam do siebie — »obdarty, biedny — a tak mi imponuje. Widzi Bóg, że chciałem mu się wywdzięczyć« — tu zawiesił nad swojém łóżkiem złoty zegareczek, który trzymał w garści — »jaka szkoda, że moje suknie nie zdały się na niego, byłby niezawodnie wszystkim się podobał, a tak... a tak... jeszcze i ja oberwę burę.« —

Księżyc pięknie był zeszedł na wyiskrzoném niebie i rozświecał piętrzasty pałac na wzgórku, a na dolinie pozłacał tylko trzy krzyże cerkwi, gubiąc swój promień w lekkiéj mgle jesiennéj, która obciągnęła całe sioło po drugiéj stronie stawu.

Podróżny spuszczał się z góry, zostawując za sobą ów wspaniały dworzec; u dołu zatrzymał kroku, rzucił okiem w tę i tamtę stronę — porównał dwa obrazy i zadumał: „Tych szczytów nigdy mgła nie dosięga — blask niebieski leje się na nich całym strumieniem we dnie i w nocy... a jednak dzieci światła, daleko wam równać się z tą ubożuchną rzeszą, co z cieniów swoich widzi tylko te trzy krzyże, trzy gwiazdki: wiary, nadziei, miłości!... Daleko wam, daleko!...“ — westchnął — rozśmiał się przypomnieniem, wywinął kijem w powietrzu, jakby odpędzał niemiłe myśli, i to uchem, to oczyma łowił poezyę tego wieczora i coś sobie prawił: o Leliwie, o trzech zorzach, siedmiu gwiazdach, niby w rozmowie z panem pasterzem — księżycem, i z jego białoruną trzodą — gwiazdami; — dopiero kiedy wchodzącemu do wsi wysokie drzewa skradły szerokie niebo, spuścił wzrok ku ziemi i zaczął pogwizdywać marsza Dąbrowskiego, z całą serdeczną rzewnością, jakby mu grały obrazy żywsze, boleśniejsze, mówniejsze. Już właśnie podchodził ku karczmie, w nadziei, że tam się do jakiego gospodarza na nocleg wprosi, zwyczajnie jak między ludem bez wielkiego korowodu, bo stół nakryty, chleb z solą i dobrą wolą o każdéj porze czekają gościa — gdy oto między stojącymi kilkoma gospodarzami przed karczmą, co sobie gwarząc z krótkich luleczek kurzyli, jeden nagle odjął od ust cybuszek, natężył ucho ciekawie, zadrżał, i nuż na całe gardło wtórzyć nucie, która doń zalatywała z ulicy. Dwa głosy zbiegły się i zlały, bas z dyszkantem. — Gospodarz i podróżny szli wprost ku sobie, za przewodnikiem — pieśnią.

„Dobry weczer bat'ku!“ zagaba pan Dołęga. — „Dobry wieczór“ odpowie wieśniak. — „Snadź wy nie tutejsi ojcze, bo zacinacie z mazurska.“ — „Tutejsi mospanie — tu mój rodzic, tu ja się rodził.“ — „Toście pewnie bywali na wojence, że tak dobrze umiecie zawodzić: Marsz, marsz Dąbrowski!“ — „Zapewne, że się było — za piecem nie umiałbym tak śpiewać... przecież to, nie chwaląc się mospanie....“ tu stary obrzucił okiem, jakby nie chciał świadków. — „Gadajcież!... wasza twarz gdzieś mi nie obca — dalibóg! nie obca.“ — „Oj mospanie!“ — mówił stary uchylając czapki i skrobiąc się w głowę — „i mnie się coś widzi.... ale na rany Chrystusowe!... gdybym nie patrzał na własne oczy, jak naszego porucznika wzięli nam pod Borysowem, tobym przysiągł...“ — „Doprawdy? ty byłeś pod Borysowem?!“ — tu sobie patrzyli w oczy przez chwilę, a dopiero razem rzucając się w ramiona: „ty stary Ostafi! ty z mego plutonu!...“ — „Pan żyje! żyje kochany porucznik! o przez Boga żywego! czym ja się spodziewał na moje stare lata!...“

Żaden ojciec z synem, żaden druch z druchem nie mogli serdeczniéj się witać. Po pierwszém tém serc wylaniu, kiedy podróżny nie przestawał mu ściskać szorstkiéj, żylastéj ręki, uśmiechać się doń wilgotném jeszcze okiem, wymawiając z wzruszeniem: „poczciwy stary! kochany wiarus!...“ — wieśniak, bądź jakby się obwinił o zbytnią poufałość, bądź jakby nieprzyjemne jakie uczucie zakręciło jego myślami, cofnął się o parę kroków, obchodził dokoła, litośnie wstrząsał głową, przekrzywiał wargi niby do płaczu, i twarz na dłoni opierał. — „Ej, dolož moja, dolo nieszczęśliwa!“ żałośnie prawił — „tać to i was paneńku widno bieda przy-

siadła; stara wiara solą w oku, stara wiara wiatry po polu goni; chłodno i głodno i do domu daleko! takto u nas na wojence gadano, ale za co teraz?...“ a przybliżając się doń i ściskając go za kolano: „Pan Bóg dobry pobłogosławił Ostafiemu, ma chatę, ma grunta, piękny dobytek, dobrą żonę i dziatwę, i zdrowych rąk dwoje — podzieli się z wami ostatniém, będzie wam ciepło i syto, choć bez marcypanów...“ — „Bracie wiarusie!“ mówił podróżny przyciskając go do siebie — „Bóg ci to nagrodzi stokrotnie — ale ukój się, nie tak to krucho koło mnie, jak się wam widzi — patrz stary! tu podzwonił karmanem — patrz! karbowańców jak lodu, jest i łaska pańska i to nie na pstrym koniu, jest i humor wesoły i zdrowie, że gdyby zatrąbiono, to....“ — „Hum! hum!“ mruczał Ostafi z niedowierzaniem — „przecież to wy paniątko, pomnę, zawsze takie wymoderowane, a z jenerałami zabrat, choć nie gardzące niższym, a teraz, a teraz, czemuż?...“ — „Niech cię o to bracie głowa nie boli! jak ci opowiem inszym czasem, nie będziesz się dziwował, zacom dwory sobie zohydził i radziéj pod kurną strzechę zachodzę, zacom cienkie suknie w kąt rzucił, a wziął sukmanę lub kożuszek.... No! powiedz, nie tęgi ze mnie parobczak? — A teraz, prowadź mię do swojéj chaty; każ nawarzyć pirogów, jak podjemy, będziem gawędzić o dawnych czasach, o legionach, o Dąbrowskim i o téj nieszczęsnéj nocy pod Borysowem, jak nas napadli...“ — „Oj prawda, że nieszczęsna!“ powtórzył z gorzkiém westchnieniem Ostafi, „ten szelma Zboiński, co podprowadził nieprzyjaciela .... bodaj dusza jego nie miała wiecznego spoczynku! .... czyż on chodzi jeszcze po świecie?“ — „Chodzi — i dobrze mu się dzieje!“ — Ostafi zgrzytnął zębami, pięść ściśniętą wzniósł do góry, a podróżny po chwili: teraz wracam do swego; pamiętaj stary niewabić mię ani panem, ani porucznikiem, ale jak brata chłopa: Hryckiem, lub Iwasiem, lub kumem, słowem wołaj, jak chcesz, byle nie z waszecia.“ — „Kiedy taka wasza wola, toj dobrze; kumajmy się, wszak to się komuś tęgie chrzciny sprawiało... Oj czasy to, czasy! dziś lada pisarek, lada poganiacz nad tobą wydziwia.“ — „Cyt! cyt! Ostafi, będzie kiedyś lepiéj.“ — „Daj to Święty Jezu Boremelski i Najświętsza Panno Poczajowska!“ powtarzał stary wiarus, i tak ciągle prawie zamyśleni zbliżali się ku obejściu gospodarza. Gdy już pszyszli przed wrota, doszedł ich z chaty odgłos kilkunastu głosów niewieścich a z wąskich okienek jasne biło światełko.

„Tam do paralusza!“ mówił Ostafi, „u nas widzę wieczornica, właśnie potrzebna jak dziura w moście; ale hret ja to rozpędzę do biesa, bobyście kumku ani oka zmuczyć, ani wygodnie podjeść i pogadać mogli...“ i zabierał się przodem oczyścić izbę, gdy wtém pan Dołęga schwycił go za rękę i wstrzymał: „Co tobie w głowie, mój stary! ani się waż rozpędzać twoich gości, bo klnę na Dąbrowskiego, że nogą twego progu nie przestąpię; ani się waż powiadam, jeżeli chcesz mię prawdziwie uraczyć; bo na wasze szumki a dumki dusza moja skacze, jak niegdyś skakała, kiedy trębacze trąbili do boju....“ — „Oj! cóżto się wam kumku zachciwa?“ stękał Ostafi, „ta hołota wam się naprzykrzy.“ — „Już się nie frasuj poczciwy! zrób, jak mówię, a ugościsz mię, jakbyś na sto par koni wsadził... Ale, ale, ty wiesz przysłowie: boli gardło, śpiewać darmo! dla tego więc, aby ochota nie ustawała, weźcie tę sztukę!“ tu dobył karbowańca i pchał go w garść Ostafiemu — nakupcie gorzałki, napalim krupniczku, poczcim dzieweczki i mołojców — boć wiem, że u was serce hojniejsze i bogatsze, niż worek. Gdy stary wzdragał się z przyjęciem karbowańca, pan Dołęga pieszczotliwie pogłaskał go pod brodę, on zaś chwycił rękę, ucałował z rozrzewnieniem, i zaczął wołać na całe gardło: „Hej Zośka! hej Chimka! otwórzcie, poświećcie — wy kumie schylcie dobrze głowę na progu — a ty Semku dzierz kondla by milczkiem nie schwycił.“ — „Gosposiu! przyprowadzam wam kuma!“ mówił wchodząc z podróżnym do świetlicy, „stary wojak jak i ja; ruszaj się koło wieczerzy, a żywo, a smaczno, żebym się za ciebie nie wstydził. Wy zaś bracie!“ tu zdejmował z podróżnego torbę, rozłożcie się, rozgrzejcie, jakby we własnéj chacie.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O astronomii w Polsce.

(Dokończenie.)

Kończymy rozprawę niniejszą dodatkiem jeszcze o kalendarzach polskich, uważając je więcéj z naukowego, niżeli bibliograficznego stanowiska. Obok ogólnych korzyści, jakie astronomia przynosi dla oświaty i nauk tak fizycznych jak geograficznych, praktyczne jéj pożytki ściągają się głównie do żeglugi, i do chronologicznego urządzenia roku. Polska nie będąc narodem żeglownym ale rólniczym, wykształciła właśnie tę część zastósowanéj astronomii, która przez wzgląd na rozmiary czasu i odmiany klimatu, będące równoczesne z podniesieniem się i zachodem gwiazd pewnych, najbardziéj rólnikowi w zachodach około ziemi są przydatne. Dołączyła się do tego zbyt daleko sięgająca chęć przewidywania każdéj zmiany powietrznéj, a na-

wet społecznéj i politycznéj, i prognostyk astrologiczny i metereologiczny był dla tego długo najważniejszą częścią kalendarza.

W dawnym składzie akademii Krakowskiéj był, według świadectwa Jana Śniadeckiego, ciągle utrzymujący się zwyczaj, iż professor astronomii powinien był wyrachować i w rękopiśmie złożyć zgromadzeniu, przy końcu każdego roku Efemerydy, to jest biegi i położenia słońca, księżyca i planet, na każdy dzień roku, z przyłączeniem praktyki astronomicznéj, t. j. przepowiedzenia odmian powietrza. Były to więc kalendarze i każdy professor matematyki był obowiązany przynajmniéj jeden kalendarz obrachować. Do jak odległych czasów zwyczaj ten sięga, nie powiada nam Śniadecki; dodaje tylko, że widział takie kalendarze na r. 1481. i następne, opracowane przez Wojciecha Brudzewskiego. Być może, że Brudzewski obrachunki takowe z własnego pochopu robił, a dla późniejszych weszły dopiero w powinność professorów astronomii, a jeszcze późniéj, w obowiązki każdego nowego professora matematyki, aby młódź akademicka wprawiała się wcześnie do obrachunków astronomicznych. W Wilnie był także astronom z królewskiéj fundacyi, który powinien był młódź kształcącą się w akademii ćwiczyć w rachunkach astronomicznych. Jeszcze Jan Śniadecki będąc nauczycielem algebry w wyższych klassach szkoły w Krakowie, wydał dwa kalendarze na r. 1776. i 1777., w których umieszczone wiersze jego łacińskie wielkie mu w Warszawie zrobiły wzięcie. W każdym takim kalendarzu były umieszczane tak nazwane aspekta, czyli rachuby astronomiczne, z wielką pracą obliczane. Z tych zaś rachunków wyciągano astrologiczne wnioski, umieszczane na końcu kalendarza, pod napisem: prognostyk astrologiczny. Śniadecki śmiał w swoim kalendarzu zamiast prognostyka położyć wyraz domysł astrologiczny. „Kiedy więc rękopism tego kalendarza — są słowa Balińskiego w żywocie Jana Śniadeckiego (T. I. str. 14.) — przyniesiono do aprobaty professora Niegowickiego jako matematyki ordynaryusza w akademii Krakowskiéj, trudno byłoby opisać podziwienie i zgorszenie jego nad niedowiarstwem młodego filozofa. Oburzenie to podzielili wszyscy poważni ojcowie szkoły głównéj, nie mogąc się wydziwić śmiałości Śniadeckiego, który się tak zuchwale poważył targnąć na poświęcone długim przeciągiem czasu zwyczaje kalendarzowe! Wyrok wydany, — i prognostyk uroczyście przywrócony został, na miejsce niewczesnego domysłu.“

Głośna atoli była z dokładnych obrachunków kalendarzowych akademii Krakowskiéj powaga. Leo X. papież, zważywszy, że od zboru Nicejskiego (325. r.), który poprawę Juliuszowego kalendarza polecił był matematykom Alexandryjskim, aż do Concilium Lateraneńskiego, o 10 przeszło dni wszystkie pory roku wstecz się cofnęły, postanowił temu nieporządkowi zaradzić, i 1515. r. wezwał pomocy szkoły głównéj w Krakowie, ażeby podała projekt lepszego urządzenia kalendarza. Ta praca jednogłośnie poruczoną została Marcinowi z Olkusza, który wypracował obszerne dzieło, znane pod nazwą: *Nova Calendarii Romani reformatio*. W nadgrodę tak wielkiego akademii zrządzonego zaszczytu, został Marcin 1522. r. jéj rektorem obrany, a późniéj probostwem i godnością podkanclerza zaszczycony. Lecz za krótko żył Leo X., i poprawa kalendarza zaniedbana pod jego następcami, przyszła dopiero do skutku w lat 65 pod oświeconémi rządami Grzegorza XIII. Między pracami matematyków różnych narodów, których do tak ważnego dzieła wezwano, odznaczyły się pomysły Piotra Słowackiego, akademika Krakowskiego, którego papież Grzegorz XIII. wyraźną pochwałą zaszczycił.

Stanął nakoniec 1583. r. poprawiony kalendarz, a wszystkie zaprowadzone w nim reformy miał już na widoku i doradzał Leonowi X. Marcin z Olkusza. Ojciec Ś. pomny tych zasług, które w sprawie nowéj rachuby lat, uczeni Krakowscy położyli, poprawiony kalendarz posłał na ręce króla Stefana Batorego, pod ostateczne rozstrząśnienie akademii Jagiellońskiéj. Rzecz uwagi godna, że w ów czas już Jan Latosz, medycyny doktor i niepospolity astronom, też same przeciwko onéj poprawie przywodził zarzuty, które późniéj Scaliger i Calvisius wytknęli. Nie chciała się akademia narazić stolicy Apostolskiéj i potwierdziła Rzymską poprawę, odrzucając podawany układ przez Latosza, jako zawiły. Latosz upierając się w licznych pismach na swojém, zmuszony był opuścić nareszcie Kraków, i podług świadectwa Starowolskiego, znalazłszy schronienie u księcia Konstantyna Ostrogskiego na Wołyniu, który stary kalendarz jako podstawę wiary błohoczesnéj utrzymując, Latosza z wszelką uprzejmością przyjął, miał napisać nową poprawę kalendarza, nie wiadomo gdzie i w jakim języku wydaną. Pisało wielu przeciw niemu. Wojciech Rościszewski jezuita, wydał z tego powodu uszczypliwe pismo »*Latosie ciele,*« a Zebrowski teolog, akademik Wileński, napisał: *próba minucyi Latosowych* 1598. — W tym samym czasie, po synodzie Lateraneńskim, zleconém także było Kopernikowi od dworu Rzymskiego, aby oznaczył i ustanowił istotny pierwiastek rachuby cywilnéj i astronomicznéj; a bulla Grzegorza XIII.,

ogłaszająca poprawę kalendarza, wyraźnie imie Kopernika wspomniała.

Ta wziętość akademii Krakowskiéj sprawiła, że kalendarze astronomów tamtejszych wszędzie poszukiwane były. Szejbel w historyi drukarń miasta Wrocławia (Geschichte der Breslauischen Stadtdruckerei. Breslau 1804.) przytacza przywiléj Cesarza Rudolfa, dany drukarzowi Baumanowi 1596. r. na wyłączne przedawanie kalendarzy, które — są słowa przywileju — z wielkim kosztem od Krakowskich i innych astrologów nabywa. Tenże sam autor przytacza druki Wrocławskie kalendarzy Piotra Słowackiego prof. matematyki w Krakowie za Zygmunta Augusta. Napisy tych kalendarzy są następujące: Schreibkalender auf's 1583. Jahr, durch M. Petrum Slovacium, der löblichen Universität zu Krakaw Astrologum, gestellt auf den Meridian der Stadt Breslau. — Neuer und alter Schreibkalender auf das Jahr 1585 durch D. Petrum Slovacium, der löblichen Universität zu Krakaw verordneten astrologum. — Oba te kalendarze wyszły u Jana Szarfenberga in 4to po $3\frac{1}{4}$ arkusza każdy. Zdaje się, że za rękopisma kalendarzowe drogo płacono, jak to z przywileju Cesarza Rudolfa pokazuje się. Za czasów Jana Śniadeckiego, jak Baliński w żywocie jego wspomina, płacono w miejscu po 40 czerwonych złotych od każdego rękopismu.

Libelt.

Krytyka.

Vorstudien zur Wissenschaft der Natur
oder
Uebergang von Gott zur Schöpfung
von Bronislaus Ferd. Trentowski.
2 Bände. Leipzig 1840.

(Ciąg dalszy.)

Zabierając się do ocenienia samego dzieła pana Trentowskiego, nie możemy jeszcze pominąć ustępu z owéj sławnéj w swoim rodzaju przedmowy, gdzie — jak powiada autor z grzeczności — do swoich recenzentów odzywa się, i z góry dość płytko ich odprawia. Rozumielibyśmy, że nie z grzeczności, ale z interesu nauki saméj, należało autorowi wnijść głębiéj i obszerniéj w ich krytyki; i zasady, jak utrzymuje, całkiem nowéj, ba, jedynéj filozofii swojéj wyjaśnić, to odparciem czynionych mu zarzutów, to wyróżnieniem systemu nowego od dawnych. Nadewszystko zbyt zarozumiała, a przecież bezzasadna widziała nam się odprawa Dra Bayrhoffer, którego recenzya umieszczoną była w szacownem piśmie Hallskiém. Nie cierpię, powiada autor, ludzi bez własnego sądu, a mianowicie w filozofii. Niech krytyk wprzody wyzwoli myśl swoją z cudzéj opieki i własnego nabędzie zdania, niech się nauczy co jest samodzielne myślenie, a dopiero wtenczas będzie mógł o filozofii wnioskować. Dziś naturalnie, to mu się tylko widzi dobre, co do nauki Hegla, mistrza jego przystaje. — Nic łatwiejszego, jak pozbyć się na ten sposób krytyka. Możnaby go było tylko wtenczas tak krótko odprawić, gdyby recenzent mierzył jaką niską skalą nowy system autora, albo skalą oddawna porzuconą. Ale w czasach, kiedy system Hegla, po jego śmierci w licznych jego zyjący pismach i uczniach, jeszcze berła filozofii w Niemczech p. Trentowskiemu nie oddał, mogło tylko być dla autora zaszczytném, że go jeden ze szkoły onego mistrza, którego sam najszczytniejszą potęgą nowego idealizmu nazywa, według zasad Heglowskich ocenił. Maż to być brakiem własnego sądu, gdy kto takiego geniuszu, jak Hegel, wyznaje się zwolennikiem! Kto nowego filozoficznego systemu nie tworzy, a tacy nie rodzą się tuzinami, może tylko być adeptem panującéj w czasie filozofii. Nie miałże tu autor pory wykryć w uczniu jednostronności mistrza, wykazać zasady swojego systemu wyższémi od tamtych? Niechaj autor nie będzie w błędzie, aby się idealizm Niemców już w gruzy rozwalił, na których on nową filozofii świątynię buduje. Nic mu nie nada, że gmach swój na nowy przybytek rozumu sam poświęca, gdy Germanowie go jeszcze nie poświęcili. Sokratesa, wyrocznia Apollina ogłosiła najmędrszym z ludzi, i za tą wyrocznią poszły wszystkie narody, autor do dziś dnia piastuje dyplom pierwszego filozofa przez siebie samego tylko podpisany. Nie odmówi mu nikt talentu, ale się zraził taką zarozumiałością. Kto się wczytał w Hegla, wyzna, że o ile go autor przenosi ogładą i powabem formy, o tyle mu nie wyrównywa głębokością myśli. Czém porywał Hegel słuchaczów swoich, choć tak oschły, skrzepły, suchotny miał wykład? oto poezyą myśli swoich, bo każda myśl wzniosła i głęboka jest poetyczna. Nasz autor sadzi się prawie na to, ażeby porywał wysłowieniem.

Możnaby nasamprzód szukać w filozofii p. Trentowskiego, ażali jego kosmopolityczne, któreśmy powyżéj widzieli, wyobrażenia, z niéj wytłómaczyć się dadzą. I są ślady takich zasad nasiąkłych przeciwnarodowémi pojęciami. Przytaczamy je, choć nie na korzyść samego systemu, to przecież na korzyść charakteru autora, którym czyste, bezinteresowne w takim razie powodowało przekonanie. — Naród każdy żyje swoją przeszłością materyalnie i moralnie, jak człowiek wspomnieniami upłynionych dni żywota i nagromadzonémi przez siebie lub przez drugich zasobami. Silną potęgą narodowych uczuć żyjącego pokolenia są dla tego owe wspomnienia z przeszłości. Ten naród, ta matka nasza wspólna, według p. T. jest w grobie. A jaki jest według téjże nauki żywot wieczny umarłych? Oto niezmierzony rozstęp, odłączający ich od żyjących; świat na wieczność wryty, zamarły, bez związku ze światem tegoczesnym. Umarli żyją z umarłymi, żywi z żywymi! nic sympatyi między nimi na zawsze przecięta. —

Rodzimemu uczuciu zostaje jeszcze współuczucie milionów braci współżyjących, dość potężne dla napełnienia serca łaknącego miłości. Ale czém są w wyobrażeniu autora te massy ludu, w których niezatarty typ narodowości do najpóźniejszych przechodzi pokoleń, z których, jak u nas mianowicie, sączy źródło rodziméj poezyi? Posłuchajmy, co o tém pozwolił sobie wyrzec (str. 8.). »Każdy w szczególności człowiek ludu może być dzielny i rozsądny, atoli lud cały zawsze tylko jest jako dziecię bez wiedzy, jako niewiasta łatwowierna, jako płaz o tysiącu nóg. (Nie rozumiemy tu autora, boć trudno przypuścić, aby chciał powiedzieć, że całość złożona z jednostek rozsądnych, sama jest nierozsądna.) »Lud, powiada Fryderyk W., jest to zwierz o wielu językach, ale o mało oczach.« Przesąd każdy odprawia tam swój jubileusz, każdemu glupstwu stawia lud ołtarze, a lada oszust nim powoduje. Jest to robactwo niezdolne, aby kiedykolwiek przyszło do samodzielności. Massy ludu podobne są trzodom owiec, które prowadzić musi pasterz to berłem, to pastorałem, to knutem, albo li pies, oszczekując je to żołnierskim, to dyplomatycznym, to cerberowym hałasem, i t. d.« Tak może uważać ludy ktoś, co się z godności człowieka natrząsa, ale nie filozof, którego celem jest postęp. Miałyżby owoce postępu tylko na oświeconą cząstkę narodu spływać, aby resztę, całe massy, trzymać w ciemności?

Nigdyż ludy, jako ludy, wyzwolić się do pełnoletności nie mają? Nie wierzyż autor temu, co powiedziano, że głos ludu jest głos Boga, że śmie ten głos do beku owiec porównać? Jestże ojczyzna, jak owczarnia?

Powiedział prawda Chrystus, nie troszcie się, co będziecie jedli albo co będziecie pili, albowiem ojciec wasz niebieski wie czego potrzebujecie, przyzna atoli każdy, że tém przykazaniem Chrystus Pan chroniąc człowieka od zbytnich zabiegów, nie chciał go w zupełnéj zostawić niezaradności. Wszakże gdy chwila każda w przeszłość niepowetowanie tonie, człowiek tylko dla przyszłości żyje, bo ją wciąż realizuje, i nie miałżeby o nią być dbały? Sama religia Chrystusa wytknęła dla każdego w przyszłości cel życia jego, to jest żywot wieczny, na który się zawsze oglądać Chrześcianin powinien, i tą przyszłością mierzyć każdą teraźniejszości chwilę. Kara w przyszłości zawieszona, jak miecz Damoklesa, wstrzymuje rękę zbrodnia, którą chwila obecna do występku popycha. Nagroda pracy i dobrego czynu, jak chorągiew na górze zatkniona, z przyszłości na teraźniejszość powiewa. Życzenia wszelakie przyszłości sięgają, i powodują sprawami ludzkiémi. Z jéj niewidomego przestworza na sprawy życia, spada rosa nadziei i jako nektar boski osładza ludziom gorycz chwil obecnych. Zgoła przyszłością tylko i dla przyszłości żyją ludzie i narody. Bo, ażaliżby nawet podobieństwo było, żyć jedynie dla teraźniejszości, dla téj chwilki ulotnéj, któréj nikt pochwycić nie potrafi? jako przejście niedostrzeżone z przeszłości w przyszłość, jest ona jak punkt matematyczny, który nie ma żadnéj rozciągłości, i nie zatém na niéj stawiać nie można. Przyszłość zaś jest wszystkiém, ona nieprzerwanym płynem roni teraźniejszości chwile, i całą przeszłość uroniła, ona zatém celem człowieka. Nie tak sądzi autor. »Przyszłość — powiada Bóg według systemu uniwersalnéj filozofii pojęty (str. 88) — jest idealizm świata, scena różanych jego nadziei, urzeczywiszczenie jego zabiegów. Jest to druga jego ujemna strona (pierwszą była przeszłość) zbliżająca się do rzeczywistości polotem niewidzialnego puchu na skrzydłach poezyi; jest to świat przeznaczenia, świat zaludniony przez dusze najczystsze, przez myśli, ideje i marzenia. Kto tylko dla przyszłości żyje, ten dla teraźniejszości zmiera, ten nie wypełnia przeznaczenia swego, do którego go powołał.« — »Człowiecze, stoisz na podobieństwo obrazu chińskiego, między dwoma długiemi cieniami, między przeszłością i przyszłością, myślą sięgaj do obydwóch, ażali nie są tak twoją, jak są moją własnością; atoli żyj jedynie w złotym obłoku poranku twojéj teraźniejszości. A będziesz żył, jako ja żyję, i będziesz mądrym.«

Widać, że takie pojęcie i przeznaczenie żywota człowieczego, ażeby tylko żył teraźniejszością, najmocniéj się w duszy autora głosem boskim odbiło, i wpłynęło nie po mału na przekonanie jego, służenia duszą i ciałem tylko obecności i obecnym okolicznościom, z którém poważył się publicznie i tak śmiało wystąpić. Mimo powagi tego zdania, jako głosu Boga, który do nas śmiertelników w myśl filozofii autora przemawia, ośmieliliśmy się wyżéj powiedzieć zdanie nasze ludzkie, wbrew tamtemu przeciwne. Pomijając czasowe i rodzime u narodów stósunki, które zasada takowa ograniczenia się życiem na samą teraźniejszość, z korzenia niszczy i wywraca, nie wiemy, jakaby była ogólna ludzi moralność, gdyby z téj zasady płynęła. Korzystaj z każdéj chwili, jak chcesz i możesz najlepiéj, o przyszłość nie pytaj, a przeszłość do żywota twojego już nie należy, i ta chwila rozkoszy, któréj używasz, minie niepowetowana, więc używaj, bo tylko w téj chwili jesteś. Takiż to Epikureizm miałby być celem żywota naszego?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Widoków Warszawy, wydawanych u Dal Trozzo, wyszedł Nr. 3. zawiera plac Krasińskich.

Magazyn powszechny i w tym roku to stanowisko zajmuje, które zajął był już w roku przeszłym między pismami czasowémi w Warszawie. W zeszytach dotąd wydanych odznaczają się szczególnie artykuły: Słowiańszczyzna, pieśni gminne i wzgląd na nie historyczny przez W. A. Maciejowskiego — Wspomnienie o Winc. Kadłubku Hip. Gawereckiego — Wpływ kultury ziemskiéj na stan meteoroligiczny nieba J. Żochowskiego — Przesądy Białorusinów przez W. Rodziewicza — Opis Czerwińska W. H. Gawereckiego — Wiadomość o mieście Kazimierzu Dolnym i o mieście Rawie, tegoż — Uwagi nad fenomenami thermoelektrycznémi Żochowskiego, i inne. — Z dzieł ważniejszych, wyszły w tych dniach w Warszawie Humoreski Teofila Nowosielskiego. str. 358.

Zapowiedziana nowa balada Chopina wyszła w tych dniach w Lipsku. — W najbliższych numerach zdamy o niéj równie jak o sonacie, drugim impromtu i walcu ostatnim, tego zawsze w niebiańskie, boskie myśli muzyczne, niewyczerpanego kompozytora, sprawozdanie.

Dyrektor muzyki Loewe w Szczecinie, znany polskiéj publiczności, mianowicie przez wyborne ułożenie muzyki do kilku balad Mickiewicza, ułożył teraz także muzykę do Świtezianki. Dzieło to łaskawie nam w rękopiśmie udzielone należy do najwyborniejszych dzieł tego dziś najpierwszego kompozytora balad, i wyjdzie wkrótce w Poznaniu.

British scientifique repository w artykule o uniwersytetach angielskich, wymienia między najsławniejszymi professorami przy uniwersytecie londyńskim pana Białobłockiego, professora literatury niemieckiéj.

OŚWIADCZENIE REDAKCYI.

Po wydrukowaniu już początku recenzyi najnowszego dzieła pana Trentowskiego, doszedł nas następujący list, który tym chętniéj umieszczamy, iż w nim widzimy sprawdzone słowa naszego uczonego krytyka, iż »dziś może p. Trentowski żałuje, co w pierwszym uniesieniu życzliwości dla gościnnego kraju z ujmą godności swojéj i narodu napisał.«

»W przedmowie do Vorstudien« pisze p. Trentowski,« wyrażam się, że po niemiecku pisać będę bo muszę, że po polsku wtedy tylko pisać będę, skoro własnemi oczy pogodniejsze niebo we zwierciadłach naszéj Wisły zobaczę. Tak lub podobnie. Pisałem to przed dwoma laty i wydrukowane od roku. Zmienić nie mogłem, choć się względem mnie wiele zmieniło. Proszę przeto Cię, szanowny Panie, o zawiadomienie, że właśnie w tych chwilach po polsku pracuję. Jeżeli okoliczności dozwolą, już w przyszłym roku Pedagogika w dwóch tomach do druku będzie gotowa. Mam chęć szczerą od dnia dzisiajszego przynajmniéj tyle wydać po polsku, ile wydałem po niemiecku, i ile wyjdzie, ponieważ już gotowe i napisane. Ta chęć szczera musi przecież okolicznościom konieczności ulegać. Jeżeli professorem tu jeszcze lat parę nie zostanę, a przeto od wszelkich obowiązkowych prelekcyj licznych i mozolnych wolnym będę, jeżeli zdrowie służyć będzie i wszystko jak dziś, to żyję zupełnie dla literatury polskiéj, albo raczéj dla filozofii w języku polskim. Po wydaniu Pedagogiki pisać zamierzam historyą filozofii. Polecając się i t. d.

Bronisław Trentowski.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami W. *Deckera i Spółki.*